

Lech Majewski Kasztanaja



Lech Majewski

Kasztanaja



*Zostaliśmy stworzeni po to, by żyć w raju,
raj był przeznaczony do tego, by nam służył.
Nasze przeznaczenie uległo zmianie;
czy stało się to także z przeznaczeniem raju,
o tym się nie mówi.*

Franz Kafka

I

Grupa osób wypełnia dolinę. Półnagie torsy przylegają do trawy, która zdążyła już ściemnieć od codziennych przyplływów obcych ciał. Ludzie wyrwani z obowiązkowych zajęć, odseparowani od biur i tokarek dostępują tu łaski dotykania trawy. Dotykania trawy pośród gór, poniżej obszaru zarezerwowanego dla spłoszonych zwierząt. Zmieniają się twarze tych, co przychodzą, różna jest odległość dzieląca ich od domu, lecz słowa, które wypowiadają w obliczu gór, są zawsze te same. Tak jak podobne są ich czynności podczas nagłej przerwy w ustabilizowanym życiu. Wszystko, co robią, służy zniwelowaniu jednodniowej przepaści.

Ci, co właśnie nadeszli, przybywają z wnętrza ziemi i z pokrytych warstwą sadzy miast Górnego Śląska. Jeszcze wczoraj wyszli na powierzchnię, opuścili stołówki i szatnie, zaciskając w ręce rachunek z symboliczną opłatą za wycieczkę. Teraz, prowadzeni przez przewodnika w dolinę, rozsiadają się wygodnie, świadomi, że jedyna droga, jaka ich czeka, jest drogą powrotną pod powierzchnią ziemi, pod powierzchnią sadzy lęgnącej się w zakamarkach ciał.

Nareszcie noszenie przeładowanych toreb nabiera sensu – kanapki, uwolnione z plastikowych woreczków, trafiają do zgłodniałych ust. Dzieci, prawie nieróżniące się dzięki identycznym chlebakom i czapkom, zostają zmuszone do przerywania gonitw i do wspólnego posiłku – posiłku świętego w obliczu rodziny i gór. Jedzenie rozleniwia i większość zapada w nerwową drzemkę. Tylko nieliczni kontynuują niedokończone rozmowy.

Terkotanie karabinów maszynowych i wybuchy bomb paraliżują ciszę południa. Indianie nie chcą poddać się bez walki. Koczis rozkłada dwóch napastników i nie lęka się pogróżek ojca. Jedynie dziewczynki są pełne spokoju, pielęgnując przytaskane lalki.

Grupa młodych górników wyciąga karty i odbija fermentujące wino. Papierosy są teraz w cenie. Nie wszyscy zdążyli je kupić. Mamo, ta góra wygląda jak świder.

Powoli atmosfera się ożywia. Przysłuchując się rozmowom, można dokładnie określić hierarchię, jaka obowiązuje w pracy. Tajemnicą są jedynie ci, którzy śpią. Poza tym wszyscy trwają w określonym układzie. Układzie odwiecznym i niepodważalnym.

Kamień uderzający o kamień. Monotonne podrzucanie zakrzywionego kija i grzebanie patykiem w pokrytej mchem szczelinie jest nałogiem rąk przyzwyczajonych do konkretnych czynności. Nagłe i bezmyślne godziny pozbawione pracy ciągną się i trudno je wypełnić. Wymyślić coś, co zrównoważyłoby spokój i beczasowość powszedniego dnia.

Proszę państwa, te cudowne góry, które nas otaczają i wyglądają tak groźnie, powstały jeszcze w czwartorzędzie. Wykryształowały się w okresie ruchów tektonicznych, które nawiedziły ówczesny subkontynent europejski. Długi pas tych gór, będący jednym sfałdowaniem, rozciąga się ze wschodu na zachód, tam gdzie pokazują teraz, aż za Wałbrzych. Góry zbudowane są z granitu, łupku i powierzchni wapniowej, która łatwo kruszy się, szczególnie pod wpływem działania wody. Pokłady wapniowe tworzą rumowisko, które stale osuwa się w dół, spoczywając u stóp tych pięknych gór. Rozejrzyjmy się uważnie po przyrodzie, która nas otacza. Nieokiełznane strumienie rzeźbią od lat te cudowne formy. Niech państwo przypatrzą się tym cudom natury.

Przewodnik podchodzi do śpiącej kobiety i delikatnie potrząsa jej ramieniem. Tutaj nie warto spać, proszę pani. Niech pani rozejrzy się dokoła, niech pani przyjrzy się pięknemu gór, które nas otaczają. Kobieta półprzytomnym głosem odpowiada, że tak, że niewątpliwie, i gorączkowo się rozgląda. W końcu jej oczy natrafiają na sylwetkę

chłopca w niebieskim dresie i spokój powraca. Przywołany chłopiec nie wyraża zgody na ściągnięcie dresu, czerwieniąc się ze wstydu. Przewodnik siada. W zamyśleniu wyciąga z chlebaka gazetę.

Obudź się, śpisz już godzinę, nie przyjechałam tu po to, żeby patrzeć, jak śpisz. Obudź się, słyszysz? Tarmoszony za rękaw, otwiera jedno oko i mruczy coś przez sen. Nie przekonują go słowa żony. To po co jechaliśmy tutaj. Mogłeś się wypaść w domu, i ja bym się też wypała. Och, jakie tu czyste powietrze.

Papieros odpalany od papierosa, łyk za łykiem kwaśnego wina powodują coraz silniejszy zawrót głowy. Góry tańczą w rytm przekleństw i okrzyków graczy. Wiruje niebo i raj z odległą ciszą. Dama z waletem i król z dziesiątką, pijany dwór walczy zawzięcie o grosze. Fałszywa pieśń rozsadza piersi na dowód jednodniowej wolności.

Sztygar jest swój chłop. Ja go tam nie lubię. Możesz go nie lubić, ale to swój chłop. Żaden swój, jak na dziewiątce obciął mi wózek. Panie przewodniku, a co jest za tą górą? Przewodnik pogardliwie macha ręką. Zna co najmniej tysiąc odpowiedzi na pytania zadawane codziennie przez wpatrzone w niego wycieczkowiczki. Zna już doskonale swoją rolę mężczyzny, którego smagają wiatry i kołyszą do snu wartkie strumienie. Toteż żadnym słowem nie rozbija wizji. Pozwala się kochać, pozwala powracać w snach, kiedy zaduch miasta rodzi zapach gór i wsącza pod powieki masywną sylwetkę opiętą grubym swetrem. On, górski przewodnik. Przewodnik stada.

Ręka odwija gazetę pełną wiadomości. Ręka zgniata gazetę, tworząc bezużyteczną kulę. Odwinięta butelka zaspokaja silniejsze pragnienie.

Śliczne widoki. Przewodnik unosi się i rozgląda dokoła. Ile pan siedzi tu co roku, sześć miesięcy? Co? I nie nudzi się panu? Nie tęskni pan za miastem? I te, i jeszcze inne pytania ocierają się o kamienną pierś

przewodnika. Dotykają jego spoconych skroni, łaszą się pieśczośliwie do jego stóp. Stare kobiety, nieczułe już na męskie powaby, odkąd tu przyszły i złapały oddech, wymieniają nieprzerwany łańcuch chorób i dolegliwości. Opisują dokładnie ich przebieg i sposoby leczenia. Licytują się bez końca, używając łacińskich zaklęć i tytułów lekarzy. Wygrywa ta, która najdłużej licytuje.

Wygląda to tak, jakby wszystkim brakowało prywatnego życia. Czynność, poczęta na jednej osobie, kończy się na drugiej. Przebiega niczym wspólny prąd. Bo jakże inaczej to nazwać, skoro butelki i kanapki krążą od początku w identycznym tempie. Ci, co budzą śpiących, sami zasypiają. Ci, co namawiają graczy do krótkiej wspinaczki, zaraz potem przysiadają się i dorzucają własne papierosy do wspólnego banku. Tak, to jest wspólny prąd. Prąd, który przebiega przez nich teraz i zawsze, dopóki są razem, dopóki jeden obserwuje drugiego. Dopóki skazani są na siebie w pracy, domu, tramwaju, a nawet wobec gór.

Zbyt pewny ruch ręką, zbyt pewne uchwycenie się ściany, poczucie bezpieczeństwa i ramię osuwa się w mroczną czeluść. Krzyk alarmuje przewodnika, który podrywa się i nadbiega, odpłatując z szyi apteczkę. Rana na rękę jednak nie jest groźna: wystarcza jodyna, woda utleniona i opatrunek.

Był pan u nas na Śląsku? Korzystając z chwili zamieszania, mężczyzna, już od dawna czający się z tym pytaniem, podnosi się i staje naprzeciw. Przewodnik zaprzecza ruchem głowy. Nie? No, to musi pan przyjechać. Nowocześnie, ludzie w porządku. Zresztą widzi pan...

Gra w karty zaczyna męczyć graczy. Ciężkie powieki utrudniają odróżnienie króla od waleta. Cyfry i kolory wirują w palcach. Ktoś w końcu rzuca karty i odchodzi w cień. Także temat chorób wyczerpał już rozmówców, którzy czują się, jakby wyszli ze szpitala.

Para zakochanych wraca z krótkiej wycieczki. Popołudniowe słońce kładzie im ciężką rękę na włosach. Śpiący powracają na jawę, z niedowierzaniem patrząc dokoła. Tylko wrzask goniących się chłopców, z których ten w niebieskim dresie zdołał już zwichnąć nogę, trwa nieprzerwanie.

Starsza kobieta, asystując przewodnikowi w unieruchamianiu nogi wnuczka, ostrzega rozespanych rodziców. Zaczyna się łapanka, pełna poniżenia i trwogi, nielicząca się z rangą złapanego policjanta, żołnierza czy wojownika. Sam Koczis, nieustraszony w boju, z twarzą umazaną sokiem z jagód, dostaje teraz ordynarne lanie. Na cóż jego odwaga i umiłowanie sprawiedliwości, skoro cierpią na tym spodnie świeżo zakupione w Domu Dziecka.

Jeden z graczy, o płonących, rudych włosach, siedzi już od godziny w małej grocie. Siedzi na kamieniu, tyłem do wejścia, i wpatruje się w swój coraz bardziej pochylający się cień. Ktoś obcy przypadkiem znajduje się w pobliżu. Pragnąc załatwić swoją potrzebę, wkrada się w wilgotny mrok. Och, tu jesteś. Szukaliśmy cię. Co ty tu robisz? Rudowłosy nie odpowiada. Nie chcesz sobie ostatni raz popatrzeć na góry? Za chwilę jedziemy. Rudowłosy wolno odwraca się i mówi: nie.

Idą w ruch aparaty fotograficzne. Zdjęcie za zdjęciem – zdjęcia, które kiedyś wypełnią albumy i będą częścią tej nieśmiertelności, jaka jest dana górom. Rodziny zgrupowane na tle nieostrych pejzaży i zamglonych szczytów. Babcia z wnuczką. Wnuczek z pistoletem. Mąż z żoną. Żona z przewodnikiem. Wszyscy z przewodnikiem. Przewodnik ze wszystkimi. Już, już, pakować się, zwijać, zbierać, nie zostawiać po sobie śmieci. Jutro przyjdą tu inni, nowi i też będą podziwiać piękno gór, spać, opalać się, jeść i grać w karty. Będą poruszać się w nerwowym rytmie, wiercić się, kręcić, zalegać zmęczoną trawę, wysłuchując tych samych słów przewodnika.

II

Smród spalin coraz bardziej przesiąka powietrze. Pijana, półprzytomna, zmęczona i wypoczęta grupa wycieczkowiczów schodzi stromym zboczem do wyasfaltowanej kotlinki. Wokół autokarów kręcą się podobni im wycieczkowicze. Nastaje pora miejscowych handlarzy. Ich okrzyki rozdzierają powietrze. Ponad rozłożoną tandetą gromadzi się tłum kupujących. Każdy bierze do ręki jedną z rzeczy niepotrzebnych, a wystawionych na sprzedaż, i ogląda ją ze wszystkich stron. Kobieta z kulawym wnuczkem kupuje portmonetkę. Mąż, który twardo spał, decyduje się na ludowy świecznik. Rudowłosy długo ogląda wypalaną w delikatne wzory szkatułkę i prosi, aby zapakowano ją starannie. Sprzedawca patrzy na rudowłosego, jakby ten spadł z księżycy. Odpowiada, że nie ma papieru. Dopiero szelest pieniędzy ujawnia w sprzedawcy artystę pakowania szkatulek.

Proszę, proszę kupować! Kobieta w różowym sweterku zastanawia się zbyt długo nad przydatnością stojącej fajki. Z pomocą przychodzi sprzedawca. Ustawi pani na telewizorze. Koczis ucieka z powrotem w góry. Jego rozpaczliwy krzyk po chwili przeszywa harmider przy straganach. Rudowłosy pisze kartkę pocztową i powierza ją gorącej barwie skrzynki pocztowej. Wzrasta atmosfera chaosu i zmęczenia. Trzeba iść spać.

III

Zmęczone twarze raz po raz rozbłyskują martwym światłem jarzeniówek. Zaduch przykleja plecy do ceratowych foteli. Kiedy ktoś próbuje śpiewać, nikt mu nie towarzyszy i śpiew zamiera na ustach. Lepsze są słowa. Słyszane i powtarzane, nagle nabierają świeżości,

tak jakby odradzały się co pewien czas. Szpitalne przygnębienie widać szybko mija, gdyż licytacja chorób właśnie teraz przybiera na sile, osiągając kulminację w ostrej klótni, czyja żółtaczką była cięższa.

Półmrok sprzyja dłoniom zakochanych; dla reszty jest irytujący. Jak długo można wpatrywać się w przepływające i niknące w dali światła. Gracze muszą mocno nateżać wzrok, by odróżnić karty. Odnowiony zapas wina nie pomaga przebiegłej taktyce. Mnożą się szachrajstwa. O mały włos nie dochodzi do bójki.

Rudowłosy, zamknięty w wąskiej przestrzeni wysokiego fotela, pozostaje bez ruchu. Widmowe światła odbijają się w jego źrenicach. Do rozmów znowu wkrada się sztygar, jak kameleon zmieniający się z bestii w świętego. Dawno się tak nie wypałem, mówi do żony mąż, nie dostrzegając, że żona już śpi. Inne kobiety, izolowane od siebie, oddzielone oparciami i mężami, leniwie podsumowują dzień. Tak, to była piękna wycieczka, zresztą piękna jak każda inna. Życie powinno składać się z samych wycieczek. Z wycieczek i przewodników w grubych swetrach.

Wyliczanie miejscowości uzdrowiskowych, w których była jedna z pań, przerywa niespodziewana prowokacja: ta wycieczka wcale nie była najlepsza. Po chwili ciszy starsza pani dodaje: jak byłam w Wiśle, to tam był wyciąg, było wygodniej i nie tak stromo. Tak, tak, przydałby się wyciąg, tu sobie tylko nogę otarłam.

Wzrastający płacz chłopca ze zwichniętą nogą niepokoi starszą kobietę. Czy lepiej z wyciągiem, czy bez. Płacz chłopca nie ustaje. Tam był zły przewodnik, bo nic nie mówił. Uspokój się. A nasz był cudo. Taki mały, a tyle krzyku. Nieładnie. Zresztą najgorsze wycieczki są w złą pogodę i z niegrzecznymi chłopczykami. Mężczyzna, który nie powiedział dzisiaj ani słowa, budzi się i nerwowo rozgląda. Dopiero twarz chłopca go uspokoja. Po chwili bezruchu mężczyzna pochyla

się i mówi ściszym głosem: ale to zdrowo tak sobie pooddychać świeżym powietrzem.

Tak. Odpowiedź sąsiada zabija wszelką nadzieję rozmowy. Góral z fajką stojący na krawędzi popielniczki okazuje się brakiem. Ma oderwaną lewą rękę. Kolega rudowłosego klnie ile sił w płucach. Ktoś z tyłu wrzeszczy: a w lipcu jest wycieczka nad morze.

W wilgotnej przestrzeni nocy warkot silnika stapia się z szelestem liści przydrożnych drzew.

IV

Brudna zasłona nasiąka powoli światłem. Wilgotny poranek obnaża twarze gwiazd wycięte z kolorowych gazet. Pośród błyszczących limuzyn i kieliszków z wytrawnym alkoholem wirujący pył osiada na beładnie rozrzuconej pościeli. Czas marzeń i spotkań z przezroczystymi kobietami wtłacza rudowłosego w kąt obskurnej kanapy. Czas tych spotkań jest dokładnie mierzony.

Kiedy wskazówki nakładają się na siebie, rudowłosey przy akompaniamencie ryczącego budzika przerywa podróż i nie odpowiada już na tajemnicze słowa. Staje się nieczuły na dotyk. Nieczuły na szept. Nieprzytomne oczy usiłują jeszcze rozszyfrować zagadkę światła sączącego się przez zasłonę, pochodzenie limuzyn, gwiazd, pyłu i skarpetek rozrzuconych wokół krzesła, lecz nagły przypływ świadomości wyrzuca go – jak rozbitka ze skłębionej pościeli i każe zebrać walające się po plaży podłogi części ubrania.

Machinalne, lunatyczne ruchy stają się coraz gwałtowniejsze i żeglarski, świadomy złowrogiego szumu dochodzącego zza okna, ucina lęk szybkim zatrzaśnięciem drzwi.

V

Opadając, należy wykorzystać lustro umieszczone w windzie na wygładzenie sterczących włosów i fałd ubrania.

Jeden z nielicznych kontaktów z własną twarzą kończy się ponurą świadomością pustki w żołądku. Później już tylko trwa zniecierpliwienie zbyt wolnym spadaniem.

VI

Ponowne spadanie odbywa się w znacznie większej przestrzeni. Winda, przypominająca klatkę z obu stron zamykaną żelaznymi kratami, strąca w podziemia kilkunastu zaspanych mężczyzn, ubranych jednakowo i jednakowo obojętnie poprawiających kombinezony.

W tej windzie nie ma już lustra, więc rudowłosa machinalnie czesze się i dopina guziki kombinezonu, tak jak to robi od kilku lat. Zbyt wolne spadanie nikogo tu nie niecierpliwi.

VII

Podróż rozświetlonymi korytarzami odbywa się w milczeniu. Wilgotne i spękane ściany są monstrualnym brzuchem, po którym wędruje się wraz z krwią uderzającą w skronie, mrokiem i zapachem zimnego powietrza.

W trakcie powolnej wspinaczki wąskim i stromym chodnikiem takich skojarzeń nie ma. Zbyt męczy każdy krok.

VIII

Czarną kulę, gdzie półnagie postacie ślizgają się wokół siebie, szczelnie wypełnia mechaniczny jazgot. Dla zmartwiałych uszu panuje tu cisza. Ciałem rudowłosego raz po raz wstrząsają drgawki, kiedy pochylony nad zrębem przygniata świder do piersi.

W błyszczących torsach odbijają się migotliwe światła. Gdyby nie lampki na hełmach, białka oczu i zęby, trudno byłoby dostrzec pozostałych mężczyzn. Każdy z nich rytmicznie i wolno wpisuje się w czerń, zataczając szerokie kręgi strumieniem światła znad czoła. Rytm światel jest jednakowy dla wszystkich. Ta żmudna pantomima zamiera nagle, gdy jeden z pracujących odrywa się od maszyny i pada na ziemię.

Drżące światła gromadzą się wokół leżącego. W niespodziewanej ciszy głosy ludzi brzmią nierealnie. Wąska strużka krwi oplata czarną dłoń. Zbyt pewny ruch, zbyt pewne uchwycenie się ściany, poczucie bezpieczeństwa i ramię osunęło się w mroczną czeluść. Rana na ręce jednak nie jest groźna; wystarcza jodyna i opatrunek.

Krótką przerwa zostaje wykorzystana na odpoczynek i załatwienie potrzeb. Górnicy rozsiadają się wygodnie na stercie pasów transmisyjnych zwalonych pod ścianą. Niektórzy kładą się na wznak i nasuwają wilgotne hełmy na czoło. Kanapki, uwolnione z plastikowych woreczków, mogą wreszcie trafić do zgłodniałych ust. Brudna ręka odwija z gazety butelkę musującego piwa.

Mimo że ogień w tym rejonie jest niebezpieczeństwem, większość ćmi zmięte i zatłuszczone papierosy. Twarze palących nie zdradzają niepokoju. Kasztan, coś ty tam robił wczoraj w jamie? Pytanie skierowane do rudowłosego pozostaje bez odpowiedzi. Szybko palące się sporty parzą palce.

Arbajt! Na dźwięk tego słowa czarną kulę wypełnia huk przyzwyczajający uszy do innego rodzaju ciszy. Rytm świateł i rytm czynności staje się jednakowy dla wszystkich.

IX

Nadchodzi czas unoszenia się. Czarne i zmęczone twarze przywierają do stalowych krat. Łagodny szum płynącej windy każe na moment zamknąć powieki, głębiej zaciągnąć się wibrującym powietrzem i znieruchomieć zeszywniałym z brudu dłoniom, rozpinającym paski akumulatora.

Po chwili nieruchomieją już wszyscy, aby zachłannie wpatrywać się w górę, bez słów czekając na objawienie światła.

X

Kłęby pary wzbijają się spod stóp.

Kasztan zamknięty w geometrycznej bieli, pod rwącym strumieniem wody przywraca skórze jej naturalny kolor. Wokół ciągną się równe i nieskończenie długie szeregi białych kabin, w których nadzy mężczyźni obmywają się z namaszczeniem, pragnąc śpiewem przekrzyczeć szum wody.

XI

Czerwień popołudniowego nieba zostaje skoncentrowana w paśmie martwych gór, ostro wystrzelających ponad pustynną okolicę. Gęste chmury nad wierzchołkami stwarzają iluzję krateru rozpalonego i gotowego do eksplozji. Osypujący się ze zbocza drobny żwir, o grudkach wydzielających dym i silny zapach siarki, podsyca tylko podobieństwo do niewygasłego wulkanu. Jedynym obcym ciałem w tym pejzażu jest abstrakcyjny fragment domu z czerwonej cegły, wystający spoza stoku góry.

Grzęznąc po kostki w brudnym żwirze, grupa siedmiu mężczyzn wspina się ukosem na szczyt długiej hałdy. Najstarszy z nich spełnia rolę przewodnika. Jako ostatni w tyralierze kroczy rudowłosey, niosąc na ramieniu żółtą torbę.

Tu masz łóżę, wszystko widać, mówi najstarszy, stając na szczycie, wzdłuż którego ciągną się szyny kolejki wąskotorowej, zastawione małymi wywrotnymi wagonikami do przewozu żużlu. Każdy ma swoją łóżę, dorzuca i rozsiada się wygodnie w pustym wagoniku.

Panie sztygar, a co będzie, jak skończą się zapasy? Nic się nie martw, ktoś poleci. Kiedy pozostali idą w ślady sztygara, dosuwając do siebie wagoniki, najwyższy i najgrubszy z nich, noszący z tej racji przezwisko Daimler, otwiera wprawnym uderzeniem pięści dwa wina naraz.

Ma chłopak cios, mówi sztygar. Lunatyk otwiera zębami kapslowane piwa i podaje każdemu po dwie butelki. Niezmaconą ciszę, jaka zapada nad szczytem hałdy, przerywają jedynie mlaśnięcia i bulgotanie piwa w gardłach. Nic nie jest w stanie przeszkodzić leniwej kontemplacji dalekiego pejzażu miasta, przesłanianego sączącą się z dołu smugą dymu. Pierwszy z rozmarzenia wyrывa się sztygar.

Pięknie poszła nasza kopalnia, chłopcy. Trzy rekordy w miesiącu, to jest coś. Nikt jednak nie podejmuje starej melodii sztygara. No, co chcecie, Siemianowice choćby się zesrały, to tego nie zrobią. Zrobią, nie zrobią, wszystko jedno. Komu wszystko jedno? Chyba takiemu ciulowi jak ty. Spokojnie, panie sztygar, nie ma się co nerwować. Co spokojnie?

Kopalnia produkuje za trzy, a temu wszystko jedno. Staszic albo Janów to są kopalnie; wszystko automatyka, nie to, co u nas, z boku odzywa się Lunatyk. Choćby mi płacono, to nie poszedłbym na automaty. Bo się na tym nie znacie. A co, trudno się poznać? Trzy guziki na krzyż i po piwie.

O to chodzi, panie sztygar, leżysz pan wygodnie, nogi na stole, Ameryka, a nie codziennie jak neger czarny i ujebany, że cię matka rodzona poznać nie może. Od takiej roboty to tylko się mięśnie na mózgu robią. Lepiej, jak się robią na mózgu niż na rzyci.

Ostatnie pasmo przegranych GKS-u nie wprowadza do rozmowy pożądanego odprężenia. Biesiadnicy z bólem rozmijają się w kwestii, czy należałoby wzmocnić atak, czy obronę; jedynie stoper Wraży i bramkarz Czaja unikają ostrej krytyki. Zlecą, nie zlecą, ale ich w ciula zrobiono. Żurek obiecał, że będą grali na Śląskim, jak wejdą do pierwszej ligi. Coś ty, chłopie, ligowy mecz na Śląskim, po co im stadion na sto tysięcy? Jak to po co? Zeszłej niedzieli oglądałem mecz z dachu tej rudery obok stadionu, biletów już dwie godziny przed meczem... Nagle Mojżesz, o kędzierzawej brodzie, wyskakuje w górę i krzyczy głosem proroka: Ludzie, popatrzcie, jakie czerwone niebo!

Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem... Kto ma sporta? A bo co? Bo mi się skończyły. Mojżesz, Mojżesz, a powiedz, kiedyś ty ostatnio palił swoje. Jak były mazury w citkach. Oj, mazury! Ani

mi nie mów. Czemu oni je skończyli robić? Po raz pierwszy tego popołudnia odzywa się Palma. Patrzcie, Palma coś powiedział!

Sztygar wyciska resztkę wina z ostatniej butelki, którą dalekim wyrzutem umieszcza u podnóża hałdy. Panie sztygar, co to znaczy, że spotkanie upłynęło w przyjaznej atmosferze? Znad gazety unosi się szpakowata głowa Wasyla. To znaczy, że wszyscy się całowali tam gdzie trzeba i przy zamkniętych drzwiach. Niemogący wysiedzieć na swoim miejscu Mojżesz zaczyna miotać się między wagonikami i opowiadać o porannej przygodzie w tramwaju. Panowie, torcik z kremem.

Patrzyłem jak głupi i myślałem: ach, w ten torcik i w tę czekoladę, a tu już za dziesięć szóstą, tłok straszny i nie mogę precyzyjnie się do niej. Myślę: w Chorzowie będzie luźniej, to podejść, patrzeć, a tu ona przed Chorzowem wysiada, nawet nie spojrzała na mnie. Jak tak można, bez spojrzenia nawet? Ale nie... Wiecie, panowie, co zrobił Mojżesz? Wsadziłem palce do ust i gwizdnąłem, a gwizd mam jak syrena na grubie, wszyscy obejrzel się i ona też, chciałem jej coś powiedzieć, ale mi język zamarzł... Ale ja ją sobie jeszcze przyuważę, tą samą baną do arbajtu jeździmy.

Ana, Ana, Ana, Ana! Jo cie zu wizu dostana. Choćbyś włożyła mi pod stół. Jo cie chyca zu wi zu! Komentarz muzyczny sztygara rozeźla pozostałych. A kiedy sztygar nieczuły na pogróżki zabiera się do śpiewania drugiej zwrotki, Mojżesz jednym skokiem znajduje się przy nim i huśtając wagonikiem, mówi: I rzekł her God do wenża.

Idź wek, ty pierońsko szlango. I wonż był ap i poszoł wek. Trzeba aż przytrzymać wagonik, żeby sztygar nie wyleciał i śmiejąc się, nie stoczył z hałdy. Z pomocą Mojżeszowi przychodzi Wasyl. Feliksiak Józef, Maria Czuba, doktor Antoni Kalinowski, towarzysz Zygmunt Laskowski to są szczęściarze, o, jeszcze Stanisława Pokarzewska i dyrektor Alojzy Machel, popatrz pan, panie sztygar, nie mają żad-

nych problemów, gdzie na wczasy i tak dalej... Jak to, a dlaczego? Wasyl składa gazetę i chowa ją do kieszeni.

Niech pan zgadnie, panie sztygar. Wygrali w totka? Nie. Państwo im medale nadało? Nie. Nieeee? To dlaczego? Bo zmarli, panie sztygar. Tu są ich nekrologi. Mojżesz zjawia się między Palmą, Kasztanem i Lunatykiem. Nawet sobie nie wyobrażacie, kochani, jak ja się w niej kochałem. Kochani, codziennie wiałem ze szkoły i łąziłem do tego Supersamu, aż mnie zaczęli rozpoznawać i patrzeć jak na złodzieja...

Niech pani zaczeka. Aż ja się sebleka. Wleżemy pod deka... Panie sztygar, skończ się pan wydzierać! Lunatyk usiłuje wybić z rytmu śpiewającego. Zapasy się skończyły, nie ma co robić... Trzeba, żeby ktoś skoczył do sklepu, bo zamkną, smutno mówi sztygar. Zaraz...

Kochani, co ja się w nią nawpatrywałem, mówię wam, jak sprzedawała te dywany, to coś aż mnie pchało, żeby rzucić się i na tym dywanie ją, nie patrząc na ludzi, na nic. Przez to ja mógłbym być teraz ekspertem od dywanów; rozróżniam gatunki, rodzaj włosa, wielkości, wszystko. Stałem tam, niby gładziłem dywan, przyglądałem się, tak jakbym miał kupić, i nie spuszczałem z niej oka. I niech mnie szlag trafi, ale jakoś głupio mi było podejść, zwyczajnie podejść i umówić się z nią.

Choćbyś mi durś do rai plu! Choćbyś mi durś gardiny prul! Jo cię beda kochała! Bo jo jest twoja stara baaabaaa... Panie sztajger, jak wy już coś dupniecie, to tak choćby świńską pizdą o ścianę w szlachthauzie. Ale nie na pewno. Urażony sztygar odwraca się plecami do Lunatyka. No, Mojżeszku, dawaj dalej.

Jednego dnia jak tak stałem, to nagle za plecami słyszę: zboczeniec jaki czy co, i ona podchodzi do mnie, tylko że z gliniarzem. Gliniarz mnie wylegitymował, wziął ze sobą na tył sklepu, do biura, przesu-

kał mnie, a jak nic nie znalazł, to zaczął pytać. Po co tu chodzę? Co kradnę? Ilu nas jest? Co za paczka i czym się zajmujemy? A jak ja mu na to, że tak sobie chodzę, żadna paczka, żadna kradzież, chodzę sobie, bo każdemu w Polsce Ludowej można sobie chodzić i stać po miejscach publicznych, to on za banana i zaczął mnie drutować.

Wtedy ja mu w mordę, a on na to: czekaj, chamie, pogadamy na komendzie, wyłamał mi rękę i ciągnie jak psa do tylnych drzwi, tych, co dowożą nimi towar... Idźcie któryś po piwo! Zaraz, panie sztygar, zaraz... Jak wyszliśmy, to akurat nadjechał wóz meblowy i otworzono bramę, głupi gliniarz puścił mnie i cofnął się pod ścianę, a ja nura i już mnie nie było, ale bałem się wracać do Supersamu. Po jakimś tygodniu poszedłem, łąziłem jak Templer; postawiony kołnierz, gazeta, ten model, ale nie widziałem jej już. Może zmieniła pracę albo zachorowała... No... to co mówiłeś, że ją waliłeś?

A waliłem ją, pewnie, kochałem się z nią co wieczór, jak tylko w internacie gaszono światła, to byłem stróżem nocnym w tym zabjanym Supersamie; jest noc, zapalają się światła, różnokolorowe, jak w sali balowej, z działu radiowego dobiega muzyka stereo, w spożywczym uginają się stoły, możesz brać, co chcesz: wodę, piwo, wino, szampana, żyć, nie umierać, wszystko za darmo. Dywany rozłożone na posadzce, leżysz, gdzie chcesz, i patrzysz, jak ekspedientki rozebrane do naga chodzą sobie i przymierzają różne suknie, i tańczą, ruszając dupami, o tak, bo muzyka jest strasznie podniecająca, wszystkie chcą się kochać.

Och, kochani, ja tam byłem jedynym facetem, kochani, to one dawały się do mnie, całowały mnie i lizały, aż nie mogłem się opędzić, a moja, co mi gliniarza na łeb sprowadziła, to o mały włos nie podcięła sobie żył z zazdrości. Tak było... Głupia, prawie szeptem odzywa się Palma. Co głupia? Że sobie żyły podcięła. Patrzcie, Palma by wołać, żeby do niego przyszła, krzyczy Lunatyk, budząc się z zamyślenia. Idźcie, do kurwy nędzy, po to piwo, bo sklep zamknął!

Sztygar wstaje, spluwa w stronę brązowiejącego nieba i chwytając Lunatyka za ramię. Lunatyk, kopnij się na dół. Ja nie mam torby, panie sztajger, niech Kasztan idzie, bo ma największą. To bierz taszę Kasztana i wal na dół. Lunatyk, znając upór sztygara, niechętnie podnosi się. A co to jest?

W ręce Lunatyka jaśniej paczka wyciągnięta z dna żółtej torby. Dawaj! Kasztan rzuca się na Lunatyka, ale ten chowa zawiniątko. Dla kogo te prezenty? Dawaj! Co cię to obchodzi! Jak to, co cię to obchodzi, nas wszystkich to obchodzi. Lunatyk już chce podać paczkę Mojżeszowi, ale blokuje go Kasztan. Wczoraj kupiłem, w górach, dla matki. Aaa, to co innego. Dawaj, ja pójde.

I znowu mozolne wspinanie się na miejsce, gdzie opustoszałe wagoniki lśnią w zachodzącym słońcu. Dopiero z bliska widać jasną rozgwiadę pięciu mężczyzn leżących na pustynnym żwirze, z głowami połączonymi w środku kręgu. Tylko jeden Wasyl pozostał w wagoniku, wtłoczony w jego dno przez sen. Coście się tak poukładali? Bo wygodnie, masz piwo? Kiedy zęby Lunatyka łamią metalowe kapsle, Daimler kontynuuje przerwane zwierzenia.

No, jasne, że tak jak on. Tydzień życia jak Templer, a co ty chcesz, codziennie nowa dupa, przyjęcie, gadanie z ciekawymi ludźmi, a jakbym miał taki wóz, tobym wypruwał co kilka dni przed siebie, byle gdzie, taki wóz to jak najlepsza dziewczyna; mięciutki, poddaje się, biegi jak masło, każdemu glinie zwiejesz. Muuuu! Przyłożona do ust ręka i głośne muczenie jest wyrazem najwyższego zadowolenia u Daimlera. No tak, i co dalej?

Sztygar nie wydaje się tym zachwycony. Jak to, co dalej? Wszystko! A co, to mało, jak codziennie dają ci zadania, rozwiązujesz zagadki kryminalne, bierzesz za to szmal, jakiegoś pan, panie sztygar, na oczy nie widział. Za taki szmal to sobie kupuję najelegantsze mieszkanie, domek na lato, z jachtem i jeziorem, domek na zimę, z własną górą

do zjeżdżania... Codziennie mogę kupić bilet na samolot i lecieć na Hawaje albo na polowanie do Afryki, to pan, panie sztygar, nie wiesz, jak inni żyją? Tam nie trzeba paszportów ani pozwolenia z gliny, ani nic... każdy jedzie, gdzie chce, jak tylko ma forszę.

A taki detektyw prywatny, jak Templer, to tam zarabia jak złoto. Tu sobie też możesz domek na lato kupić. Gdzie, coś pan? A działki to gips? Panie sztygar, co pan, ja mówię o luksusowej willi, na taką to sobie u nas tylko badylarze mogą pozwolić! Po co mi willa, mam działkę i tyle roboty, że sobie ręce można urobić więcej niż na grubie. Z wami, panie sztygar, to jak z dzieckiem. Tam człowiek ma służbę, nic nie robi, tylko sobie na hamaku leży.

Kokakolę pije, patrzy w kolorowy telewizor i kąpie się we własnym basenie. A u nas jak upał, to można tylko na Fałę iść i w szczochach się pomoczyć. Ja tam chodzę na Sztauwajery i w żadnych szczochach się nie moczę... Wciepnę batki, wskoczę trzy razy do wassertafl i po ptokach, po co więcej? Z panem, panie sztygar, to nie idzie pogadać. Ja tu o Hawajach, a ten o Sztauwajerah... Ale ten Święty to elegancki chłop, baby lubią takich... A widzicie, elegancki i ze szmałem, co dzień nowa dupa, i to jaka. Po takiej jednej to się trzy dni do tyłu chodzi. Tak, tak.

Muuuu! Ale ten Templer to ma co z taką dupą robić, chatę ma jak cacy, samochód marzenie, i tam jest jak szmal puszczać; kluby nocne, jeden na drugim, ze striptizem, z bitelsami, ruletką, burdele, ze sto kin jest i grają same westerny i filmy gangsterskie. A co u nas, pójdziesz do kawiarni, to cię przed dziesiątą wyrzucą, ani chaty, bo jakby przyszła do takiej chaty, jaką mam, toby uciekła, na dansing nie pójdziesz, bo się nie dopchasz, chyba za grubą łapową, a jak się dopchasz, to grają tylko jakieś polki i walce, i to jest dansing?!

Tutaj nie ma co robić po nocy. Templer z taką dupą to na eleganckim tapczanie się całuje, poda jej jaki elegancki koniak, wsadza do

swojego wyścigowego samochodu, wiezie na ruletę, a ty co? Tutaj specjalnie to nie ma na co podrywać.

Najlepiej podrywa się na radio, odzywa się Lunatyk. Ja tak zerwałem swoją. Stałem pod rondem, wziąłem tranzystor z długą anteną i o czwartej, jak dają rytmy młodych, puściłem na cały regulator. Ona szła z roboty z jakąś koleżanką i pierwsza do mnie zagadała. A jak gadała, to jej same nogi chodziły do tej muzyki. Powiedziałem: równa z ciebie dziewczyna, bo lubisz tańczyć, i umówiliśmy się na sobotę, na tańce, i przyszła.

Ja bym jednak chciał spędzić ten tydzień na Hawajach, mówi Mojżesz, bo jakbym miał wybrać, to właśnie tydzień na Hawajach z Brizit Bardot. A kto by nie chciał? Patrzcie, Palma i Brizit Bardot! Pada natychmiastowy komentarz Lunatyka. Synek, ty byś jej nawet nie dotknął tymi swoimi rączkami. Skąd wiesz, a może właśnie takie rączki lubi, bo ma dość tych perfumowanych szaców? Ej, panie sztygar, ona by prędzej niedźwiedzia wpuściła do łóżka. Palma to tak choćby niedźwiedź, no to szansę ma. Sztygar śmieje się i kończy dziewiątą symfonię piwa.

Panowie, wyobraźcie sobie, tydzień z Brizit Bardot na Hawajach! W luksusowym hotelu! Nad plażą! W takim hotelu, co to w nim i basen, i kasyno, i ruleta, i dyskoteka, i kino!!! Tydzień, że cały czas trzeba by było się szczypać w rzyć, a i tak minąłby jak pół sekundy. Brałbym jakieś środki podniecające, żeby nie spać, a i Brizit bym wysypywał każdego dnia ze trzy kilo johimbiny, żeby oszalała, patrząc na minie. Panowie, ciul by mi odpadł. Dajcie no papierosa, bo się zdenerwowałem. Oj, Mojżesz, Mojżesz, kiedy ty będziesz palił swoje.

Wiecie, jak Belmondo pali papierosa? Daimler podnosi się, bierze sporta, wyrywa paznokciem małą dziurkę w środku i wkłada go płasko do ust, tak że oba końce sterczą po bokach. Ciągnąc powie-

trze przez dziurkę, zapala oba końce i zaciąga się. Tak się można podwójnie zaciągnąć. Dobrze, co? Sam na to wpadłem.

Codziennie rano kładłbym się z nią w hamaku, nad samym brzegiem, a fale co pewien czas, kiedy już bym się zgrzał, oblewałyby mnie i ją. Nad głową kazałbym sobie zamontować beczkę piwa i kazałbym od niej poprowadzić taki mały szlauch do ust, że mógłbym sobie pociągać, kiedy by mi się chciało, i ona też. A beczka byłaby obłożona lodem, albo czym innym, żeby piwo było zimne, a nie takie jak to, fuj...

Zresztą kazałbym sobie zamontować też drugą beczkę z ciemnym piwem i jeszcze inne beczki... Ani mi się nie chce mówić, ze wszystkim do picia, co lubię. Patrzyłbym w górę; a tam wiatr targa palmami, patrzyłbym w bok, a tam morze. I kochałbym się z nią do nieprzytomności. Aha, jeszcze gdzieś z daleka, z boku, kazałbym zamontować adapter stereo i puszczać płyty bitelsów, wszystkie, jakie tylko nagrali. Koło nas by chodziły nagie dupy, Mulatki przystojne jak cholera, i huśtałyby nas od czasu do czasu albo wachlowały, takimi dużymi wachlarzami ze strusich piór. Tak, wachlowałyby nas strusimi piórami...

Tak, panowie, tak by było, na okrągło, a w nocy bym z nią szalał w dyskotecę, a jakbym się zgrzał, to piłbym coś przy barze, przyklejał forse kelnerowi do czoła, lałbym po mordzie tych, co się za bardzo gapią na nogi mojej Brižit, i szedłbym się wykąpać, ma się rozumieć nago, razem z nią, do basenu albo do morza... Ech, tak by było... Panowie!... Potem ruleta, hazard i tańce, i kochanie się w apartamencie. Apartament to taki najdroższy pokój w hotelu, przeważnie kilka pokoi, i to z telewizorem, ze wszystkimi wygodami, i kochanie do rana, a rano śniadanie ekstra i nad morze, do hamaku... Chyba nie wiecie, ale ja nigdy nie byłem nad morzem.